

**JOSEPH
CONRAD**

MURZYN Z

ZAŁOGI

NARCYZA

Joseph Conrad

Murzyn z załogi Narcyza

«Public Domain»

Conrad J.

Murzyn z załogi Narcyza / J. Conrad — «Public Domain»,

Murzyn z załogi Narcyza, powstały w roku 1897, to wczesna powieść Josepha Conrada (i bodaj jedyna, w której pojawia się nazwa autentycznego statku). Opisuje ona jeden trudny rejs — podróż z Bombaju do Anglii, podczas której statek doświadcza najpierw sztormu, następnie zduszonego w zarodku buntu załogi, a w końcu ciszy morskiej. Prawdziwym tematem książki są jednak ludzie i ich reakcje na obecność na pokładzie niepokojącego towarzysza – czarnego marynarza, Jamesa Waita, który bez przerwy powtarza, że jest śmiertelnie chory. Nie wszyscy wierzą w jego deklarację, wielu trudno funkcjonować w stwarzanej przez niego atmosferze, a kucharz próbuje go nawrócić. Jednak zagrożenie życia Jamesa Waita, prawdziwe czy wyobrażone, w krytycznych momentach popycha załogę do działania z narażeniem życia.

Содержание

Do moich czytelników w Ameryce	5
Przedmowa	6
Murzyn z załogi Narcyza	9
I	9
II	20
Конец ознакомительного фрагмента.	26

Joseph Conrad

Murzyn z załogi Narcyza

Do moich czytelników w Ameryce

Poczynając od wieczoru, gdy Dzems Wait zjawił się na okręcie – spóźniwszy się na przegląd załogi – aż do chwili gdy, spowity w płótno żaglowe, opuścił nas na pełnym morzu przez otwór w burcie, miałem z nim wiele do czynienia. Wchodził w skład mojej warty. W brytyjskim kasztelu Murzyn czuje się osamotniony. Nie uważają go za kamrata. A Dzems Wait, drżący przed śmiercią, z której uczynił swoją współpracę, był jednak pewnego rodzaju oszustem. Zawładnął naszym współczuciem, gardził naszą uczuciowością, zwyciężał nasze podejrzenia.

Ale w książce jest niczym: koncentruje tylko zbiorową psychologię okrętu i stanowi oś akcji. Jednakże drogim mi bardzo jest ten, którego zwiemy „Murzynem” w moim kółku rodzinnym i wśród przyjaciół. Albowiem książka snująca się wokół jego postaci jest dziełem, na które można się zdobyć raz tylko jeden w życiu.

Książka ta stanowi o mojej wartości – może nie jako powieściopisarza, ale jako artysty dążącego do bezwzględnej szczerości wyrazu. Jej kartki – to hołd głębokiej, wiernej miłości, złożony okrętom, żeglarzom, wichrom i niezmiernym obszarom mórz – tym rzeźbiarzom mojej młodości, towarzyszom najlepszych lat mego życia.

Gdy napisałem ostatnie wyrazy tej książki, świadomość dokonanego zadania przepełniła mi duszę i zrozumiałem, że rozstanie moje z morzem jest nieodwołalne, że odtąd przeznaczono mi być pisarzem. I, prawie nie odkładając pióra, napisałem przedmowę, usiłując wyrazić, w jakim duchu przystępuję do zadań nowego życia. Stosownie do udzielonej mi wówczas rady, która (jak mi się teraz zdaje) była niewłaściwa, przedmowa nie została włączona do książki. Ale nieżyjący już W. E. Henley, który w tym czasie (1897) miał odwagę drukować w „New Review” mojego „Murzyna”, osądził, że warto ją zamieścić jako posłowie przy końcu ostatniej części powieści.

Cieszę się, że książka, która mnie tak bardzo obchodzi, będzie znów wydana przez moich przyjaciół i wydawców, pp. Doubleday, Page & Comp. i że ukaże się pod swoim właściwym tytułem jako *Murzyn z załogi Narcyza*.

Pół okresu obejmującego pokolenie minęło już od czasu, gdy W. E. Henley polecił mi powtórzyć po przeczytaniu dwu rozdziałów: „Powiedzcie Conradowi, że jeśli cała powieść stoi na wysokości tej próbki, pomieszczę ją napewno w «New Review»”. Najmilsze to ze wspomnień mojego literackiego żywota!

A oto pominięta przedmowa.

1914

Przedmowa

Dzieło, chociażby najskromniejsze, które pragnie stanąć na wyżynie sztuki, winno nosić jej piętno w każdym zdaniu. Sztukę zaś można określić jako wysiłek ducha, dążący do wymierzenia najwyższej sprawiedliwości widzialnemu światu przez wydobycie na jaw prawdy – wielorakiej i jedynej – ukrytej pod wszelakimi pozorami. Jest to usiłowanie, aby wykryć w kształcie prawdy, w jej barwach, w jej świetle, w jej cieniach – w zmienności materii i w przejawach życia – to, co jest podstawowe, co jest trwałe i zasadnicze; jedyną cechą, która wyjaśnia i przekonuje – rdzeń wszelkich zjawisk. Artysta, podobnie jak myśliciel lub uczony, szuka prawdy i przywołuje ją. Przejęty widowiskiem świata myśliciel zagłębia się w dociekaniach, uczony w faktach; wynurzywszy się z nich, zwracają się do tych cech naszej istoty, które uzbrajają nas najlepiej na ryzykowną walkę z życiem. Przemawiają z wyżyn swego autorytetu do naszego rozsądku, naszej inteligencji, naszego pragnienia spokoju albo pragnienia przygód; nierzadko do naszych uprzedzeń, czasem do naszych obaw, często do naszego egoizmu – a zawsze do naszej łatwowierności. Słów ich słucha się z szacunkiem, gdyż ludzie ci mają do czynienia ze sprawami wielkiej wagi; z kulturą naszych dusz i z pieczęią należną naszemu ciału; z urzeczywistnieniem naszych ambicji, z udoskonaleniem naszych środków i uświetnieniem drogi nam celów.

Z artystą jest inaczej.

Postawiony wobec tegoż samego zagadkowego widowiska, artysta zstępuje wgłąb siebie samego i w tej samotnej krainie walki i napięcia znajduje treść swojego wezwania – jeśli na to zasłużył i jeśli mu sprzyja szczęście. Wezwanie jego zwraca się do naszych mniej jaskrawych właściwości; do tych cech naszej istoty, które – ze względu na bojowe warunki życia – usuwają się w głąb nas samych i kryją poza bardziej odpornymi i twardymi właściwościami – tak jak ciało ulegające zranieniu kryje się w stalowej kolczudze.

Wezwanie artysty mniej jest głośnie a bardziej głębokie, mniej wyraźne a bardziej wzruszające – i prędzej zapomniane. Lecz skutek jego trwa wieczyście. Zmienna wiedza mijających pokoleń odrzuca idee, wątpi o faktach, burzy teorie; artysta zaś przemawia do tej części naszego jestestwa, która nie jest zależna od wiedzy; do tego czegoś w nas, co jest darem, a nie nabytkiem i – jako taki – mniej jest przemijające. Artysta oddziaływa na naszą skłonność do zachwytu i podziwu, na świadomość tajemnicy przenikającej nasze istnienie, na odczucie litości, i piękna, i bólu; na tajną, bliźnią więź łączącą nas ze wszechstworzeniem i na subtelne, lecz niezłomne poczucie solidarności, która jednoczy samotne, nieprzeliczone serca; na wspólność w marzeniach, w radości, w smutku, w dążeniach, w złudzeniach, w nadziei, w trwodze – wspólność, która wiąże ludzi ze sobą, która spaja w jedno całą ludzkość – umarłych z żywymi, i żywych z tymi, co się mają narodzić.

Tylko podobne myśli, czy też raczej uczucia, mogą do pewnego stopnia wyjaśnić cel moich usiłowań w niniejszym opowiadaniu; usiłowań dążących do przedstawienia niespokojnego epizodu z życia kilku ludzi, wyjętych z pogardzanego środowiska zahukanych prostaków, którzy nigdy do głosu nie dochodzą. Albowiem jeśli jest choć cząstka prawdy w powyżej uczynionym wyznaniu, jasnym się staje, że nie ma na ziemi zakątka – czy mrocznego, czy też jaśniejącego wspaniałością – który by nie zasługiwał choć na przelotne spojrzenie podziwu i litości. Pobudkę tę można uznać za wyjaśniającą sam przedmiot dzieła – ale niniejsza przedmowa, która jest po prostu wyznaniem dokonanych wysiłków, nie może się na tym zakończyć, gdyż wyznanie to nie jest jeszcze zupełne.

Powieść – o ile w ogóle dąży do tego, aby się stać dziełem sztuki – przemawia do naszego temperamentu. I zaiste, winna być – zarówno jak malarstwo, jak muzyka, jak każda inna sztuka – wezwaniem indywidualnego temperamentu, skierowanym do wszelkich innych niezliczonych temperamentów, których subtelna i nieodparta siła nadaje mijającym zdarzeniom prawdziwą ich treść i stwarza duchową, uczuciową atmosferę odpowiednią danemu miejscu i czasowi. Podobne wezwanie musi być rzucone przez zmysły, o ile ma oddźwięk wywołać; i nie może się to stać

w inny sposób, gdyż temperament – indywidualny czy zbiorowy – niedostępny jest jakimkolwiek rozumowaniom. Tedy wszelka sztuka przemawia pierwotnie do zmysłów, i artystyczny cel, wyrażony słowem pisanym, musi również do zmysłów przemawiać, jeśli jego podniosłym hasłem jest dotarcie do tajnej sprężyny drgającej wzruszeniem. Musi dążyć gorliwie do plastyki – jak rzeźba, do pełni kolorytu – jak malarstwo, i do czarodziejskiej wnikliwości muzyki, która jest sztuką nad sztuki. Jedynie przez nieugiętą wolę, aby formę z treścią zespolić, jedynie przez niezachwiane, bezustanne dążenie do wypukłości i harmonii zdań można zbliżyć się do plastyki, do barwy; nawet czarodziejskie błyski natchnienia mogą załsnąć przelotnie nad pospolitą powierzchnią słów – tych starych, starych słów, wyszarżałych i zniekształconych przez wieki niedbałego posługiwania się nimi.

Szczere usiłowanie, aby osiągnąć ten twórczy cel, aby dotrzeć do niego tak blisko, jak tylko siły pozwolą, aby posuwać się naprzód, nie dając się odstraszyć zwątpiałości, wyczerpaniu czy zarzutom – oto jedyne usprawiedliwienie dla twórcy piszącego prozą. Jeśli sumienie jego jest czyste, odpowie w następujący sposób wszystkim, co przesiąknięci wiedzą dążą do korzyści bezpośredniej, żądając aby ich zbudował, pocieszył, zabawił; którzy domagają się, aby ich w mgnieniu oka zmienił na lepsze, aby dodał im odwagi, aby przeraził ich, czy zgorszył, czy zachwycił – Oto jak im wszystkim odpowie – Cel, który staram się osiągnąć, jest następujący: chcę, abyście przez potęgę pisanego słowa mogli słyszeć, czuć, a przede wszystkim – widzieć. Tylko to, nic więcej; a to jest wszystko. Jeżeli mi się powiedzie, znajdziecie w moim dziele to, czego pożądacie: pociechę, zachętę, przerażenie i zachwyt – a może i ten błysk prawdy, którego zapomnieliście się domagać.

Zdobycie się na odwagę i wydrzeć szmat życia nieubłaganemu czasowi – to dopiero początek zadania. Właściwy cel, do którego się przystępuje z tklivością i wiarą, polega na tym, aby ten ocalony fragment życia dźwignąć pewną dłońią – bez wahania i bez lęku – i ukazać go wszystkim oczom w świetle szczerości. Oddać jego tętno, jego barwę, jego kształt, i poprzez jego ruch, kształt i barwę objawić istotę jego prawdy, odsłonić tajne źródło jego natchnienia: siłę i namietność – rdzeń każdej ważkiej chwili. Jeśli się ma za sobą zasługę i szczęście, samotny ten wysiłek może niekiedy osiągnąć taką szczerość i jasność wyrazu, że objawiony obraz żalu czy litości, grozy czy wesela, obudzi w sercach widzów uczucie owej nieodpartej wspólności – wspólności w tajnym źródle bytu, w znoju, w weselu, w nadziei i w niepewności losu – uczucie, które wiąże ludzi ze sobą i jednoczy ludzkość z widzialnym światem.

Z tego wynika, że ktokolwiek bądź – słusznie, czy niesłusznie – wyznaje powyższe przekonania, ten nie może hołdować wiernie czasowym prawidłom swojego rzemiosła. Trwała ich podstawa – prawda – którą każde z prawideł przesłania tylko częściowo, winna pozostać z twórcą jako najcenniejszy z jego skarbów; ale wszelakie hasła: realizm, romantyzm, naturalizm, nawet nieoficjalny sentymentalizm (którego niesłuchanie trudno się pozbyć, jak żebraka) – wszystkie te bożki po krótkim okresie współżycia muszą twórcę opuścić – choćby na samym progu świątyni – i pozostawić go sam na sam z chwiejnym sumieniem i pełną świadomością niezmiernych trudności swej pracy. W tej niepokojącej samotności nawet wzniosłe hasło sztuki dla sztuki traci podniecający dźwięk pozornej niemoralności. Słysząc je jak gdyby gdzieś z oddali. Nie jest już okrzykiem; dochodzi tylko jako szept – często niezrozumiały – lecz przynoszący chwilami nikłą otuchę.

Bywa niekiedy, że wyciągnięci wygodnie w cieniu przydrożnego drzewa śledzimy poruszenia rolnika w dalekim polu. Po niejakiem czasie zaczyna nas trochę zaciekawiać, co za pracę ten człowiek właściwie wykonywa. Patrzymy jak się porusza, jak macha rękami, jak schyla się i podnosi, jak się namyśla i bierze znów do pracy. Przydałoby to uroku beczynnym naszym chwilom, gdybyśmy wiedzieli, jaki jest cel jego wysiłków. Dowiedziawszy się, że usiłuje dźwignąć kamień, wykopać rów, czy wykarczować drzewo, przypatrujemy się z zajęciem bardziej istotnym; skłonni jesteśmy darować mu rozdźwięk, jaki wnosi jego krzątanie w kojący spokój krajobrazu; a jeśli jesteśmy w przyjacielskim nastroju, przebaczymy mu nawet niepowodzenie w pracy. Wiemy już, do czego dążył, widzieliśmy jego usiłowania; może nie miał sił dostatecznych, może nie znał się na rzeczy. Więc przebaczymy, idziemy w swoją drogę – i zapominamy.

Podobnie dzieje się z pracownikiem sztuki. Sztuka jest długa, życie krótkie – a powodzenie gdzieś hen daleko. Tedy wątpiąc, czy starczy nam sił na tak daleką podróż, rozprawiamy po trochu o celu – celu sztuki – który jest porywający, trudny do osiągnięcia, zasnuty mgłami. To nie jest jasna logika olśniewającego wywodu, ani też odsłonięcie jednej z okrutnych tajemnic, które zwą Prawami Natury. Cel niemniej wielki, lecz trudniejszy do osiągnięcia.

Zatrzymać – na przeciąg jednego tchnienia – ręce trudzące się w przyziemnej pracy; zmusić ludzi, wpatrzonych w odległe cele, aby ujrzeni przez chwilę otaczający ich przepych kształtów i barw, światła i cienia; sprawić, że na mgnienie przystaną, aby spojrzeć, aby westchnąć, aby się uśmiechnąć – oto cel trudny i nieuchwytny, dostępny tylko niewielu wybranym. Lecz tym, co mają za sobą zasługę i szczęście, udaje się niekiedy wypełnić nawet i to zadanie. A gdy jest spełnione – patrzcie! oto cała prawda życia: chwila wizji, westchnienie, uśmiech – i powrót do wieczystej ciszy.

„New Review”, grudzień 1897.

Murzyn z załogi Narcyza

I

Pan Baker, starszy oficer na okręcie Narcyz, przestąpił próg swej oświetlonej kajuty i znalazł się w ciemnościach tylnego pokładu. Na górnym pomoście, nad głową jego, strażnik nocny uderzył w dzwon po dwakroć. Była godzina dziewiąta. Pan Baker zawołał do tego człowieka na górze:

– Knowles, czy wszyscy ludzie już są na pokładzie?

Knowles, utykając po schodach, zszedł na dół, po czym odrzekł z namysłem:

– Zdaje mi się, że tak. Są wszyscy nasi starzy i przyszło trochę nowych... I jedni, i drudzy powinni już tu być.

– Powiedz bosmanowi, niech mi tu przyśle ich wszystkich i każ któremu z chłopców przynieść jaką dobrą lampę. Chcę zrobić przegląd załogi.

Główny pokład ku tyłowi statku – ku rufie – był ciemny, ale bliżej środka, z otwartych drzwi kasztelu, czyli izby czeladnej, dwie smugi jaskrawego światła przecinały mrok cichej nocy, która legła nad okrętem. Wrzawa głosów dolatywała stamtąd i widać było ludzi kręcących się tam i sam, od lewej burty na prawą: z bakortu na sztymbork. Co chwila pojawiały się na jasnym tle drzwi otwartych sylwety ludzkie, zupełnie czarne, niewypukłone dla oka, podobne raczej do płaskich figurek wyciętych z blachy.

Okręt gotów do wyruszenia na pełne morze. Cieśla wkołatał już ostatni klin w uszczelniacze głównej luki, odrzucił ciężki młot i teraz oto wyciera sobie powoli twarz, właśnie z uderzeniem godziny dziewiątej. Deski pokładu wyszorowano. Dźwig łańcuchowy, to jest kabestan, naoliwiono, by mógł windować kotew. Gruba lina holownicza w długich przegubach leży z boku głównego pokładu, a koniec jej, przerzucony przez burtę, zwisa i czeka na holownik, który nadejdzie, pluszcząc, gwizdząc hałaśliwie, rozgorączkowany i zasnuty dymem wśród czystości i spokoju chłodnego ranka. Kapitan, który wysiadł był na ląd, celem najmu ludzi dla skompletowania załogi, jeszcze nie wrócił. Również nie ma jeszcze oficerów, korzystających na lądzie z chwili wytchnienia po całodziennej pracy. Wkrótce po zmierzchu zaczęła wracać ta czeladź, która miała na dziś urlopy; razem z nią przybywali i nowozacieżni. U wiosła szalup białe odziani przewoźnicy z Azjatów darli się najokropniej o zapłatę, zanim jeszcze przybili pod schodki okrętu. Gorączkowy, wiercący w uszach bełkot wschodniego języka zmagął się z okrzykami podchmielonych marynarzy, odpowiadających na bezczelne nadzieje i niecne uroszczenia tych Azjatów grzmotami klątw i bluźnierstw. Wykrzykiwaniu sum od pięciu ann do połowy rupii towarzyszyło takie rozjuszone wycie i taki lamentujący kwik, że rozdzierały one na strzępy świetlaną, gwiazdzistą ciszę wschodniej nocy. Całemu zaś nawodnemu światu w przystani bombajskiej zgiełk ten oznajmiał, że nowozacieżni znaleźli się na pokładzie Narcyza.

Wrzaskliwy rozgardiasz uciszał się stopniowo. Łódki przestały nadpływać w pluskających grupkach, po trzy lub cztery, lecz przesuwwały się pojedynczo wzdłuż okrętu. Hałaśliwe kłótnie i wycia przeszły w cichy pomruk narzekań i biadań, które tłumiły wołania: „Ani pajsza więcej! Idź do wszystkich diabłów!” – okrzyk rzucany przez jakiś ciemny kształt ludzki, gramolący się z długą torbą na zwodzone schodki.

W izbie czeladnej nowicjusze sterczą między osznurowanymi pudłami i tobołami z pościelą; gestykują zawzięcie, zawierając znajomość ze starymi, co porozsiadani na dwóch rzędach prycz jeden nad drugim, spoglądają na tamtych krytycznie, choć nie wrogo. Dwie podkręcone wysoko lampy oświetlają kasztel jaskrawym, twardym światłem. Sztywne kapelusze z wycieczek na ląd zsuwano teraz niedbale na tył głowy, lub rzucano na pokład, gdzie poniewierały się wśród łańcuchów kotwicznych. Szeroko otwarte, białe kołnierze obramiały czerwone twarze majtków. Potężne ich ramiona wynurzały się z białych rękawów koszul. Nieustający rozgwar głosów przerywały raz po raz

salwy śmiechu lub ochryple nawoływania: „Bierz tę koję, bracie... Nie rusz jej!... Na jakim okręcie służyłeś ostatnio?... Znam ten żaglowiec... Przed trzema laty w Puget Sound... Ta koja zacieka, mówię ci!... Hej, pomóżcie nam wciągnąć tę skrzynię!... Czy nie ma tam który z brzegu butelczyny?... Daj no mi nieco prymki... Znam tę barkę; jej szyper zapił się na śmierć... Galant to był: płukał się starannie, ale od wewnątrz. Tak, lubił to!... Zamkniecie wy tam wreszcie gęby, czy nie?... A ja wam powiadam tak: dostaliście się na pokład jakiegoś dwumasztowego obibrzega, gdzie potrafią wyżyłować z każdego wszystkie jego siły, żeby ich!”...

Mały urwis nazwiskiem Craik, przezywany Belfastem, plótł niestworzone rzeczy o statku, kłamiąc umyślnie, ażeby nowicjusze mieli o czym rozmyślać. Archie siedział w poprzek swego kuferka i gorliwie przetykał igłą jakiś biały gałganek – łatkę do błękitnych spodni. W natłoczonym ludźmi kasztelu mieszały się czarne żakiety i sztywne kołnierzyki z pospółstwem nóg bosych, obnażonych ramion i pstrych koszul, rozchełstanych na włochatej piersi. Wśród gęstych wyziewów tytuniowych kotłowała się ta ciżba: miotła się, rzekniesz, w bójce czy też w borykaniach jakowychś. Mówili wszyscy naraz, a klęli co chwila. Fin rosyjski, w żółtej, czerwono przegowanej koszuli, spoglądał w górę rozmarzonym wzrokiem spod szopy nastroszonych włosów. Para olbrzymów – dwaj młodzi Skandynawowie o dziecinnych twarzach – pomagali sobie wzajem przy rozkładaniu pościeli, z milczącym uśmiechem przyjmując tę wrzawę błahych przekleństw i nieszkodliwych złorzeczeń. Stary Singleton, pierwszy majtek okrętu i człek najstarszy wiekiem, siedział sobie osobno tuż pod lampami, obnażony do pasa; masywna jego pierś i monstrialne bicepsy były wytatuowane jak u wodza ludożerców. Między deseniami niebieskiej i czerwonej pisanki lśniła jak atlas biała jego skóra. Oparty nagim grzbietem o koło bukszprytu, czytał jakąś książkę, trzymając ją na odległości ramienia przed swoją wielką, ogorzałą twarzą. W okularach, z majestatyczną siwą brodą, przypominał jakiegoś uczzonego patriarchę dzikich, uosabiającego pogodną mądrość barbarzyńcy wobec bluźnierczej zgiełkowości świata. Czytał „Pelham'a”, powieść Bulwera Lyttona. Dziwne, zdumiewające zjawisko przedstawia popularność tego autora w czeladnych izbach okrętów na południowych morzach. Jakie uczucia mogą się budzić pod wpływem jego gładkich i tak fenomenalnie nieszczerzych zdań, w duszach tych prostych, wielkich dzieci, zamieszkujących ciemne, tułające się po morzach przytuliska człowiecze? Jakiż sens znajdują te surowe, naiwne dusze w wyszukanej jego gadatliwości? Jaką podnieć? Jakie zapomnienie czy też ukojenie? Tajemnica! Może działa tu urok niezrozumiałości? Czar nieprawdopodobieństwa? A może tym ludziom, istniejącym niejako poza życiem, przynoszą owe powieści tajemniczą wieść o przepychu świata za tym pograniczem, pełnym zbrodni, brudu i głodu, nędzy i rozrzutności: za skrawkiem pobrzeża, które ze wszystkich stron zbiega się do wód nieskazitelnego oceanu i zamyka w sobie całą wiedzę o życiu i łądzie tych wieczystych więźniów morza? Tajemnica!

Singleton od dwunastoletniego chłopca związany z południowym żeglarstwem, Singleton, który w ostatnich czterdziestu latach spędził na lądzie (jak to wyliczyliśmy z jego papierów) czterdzieści miesięcy niespełna, Singleton, który z pogodą czerstwej, niezgrzybiałej starości chełpił się tym, że w przerwach pomiędzy zwolnieniem się z jednego okrętu a wstąpieniem na drugi miał rzadko kiedy możliwość oglądać światło dnia przytomnie – stary Singleton siedział teraz nad swoim „Pelhamem”, sylabizując powoli i pracowicie, niewzruszony pośród hałasów, przejęty zachwytem i zatopiony w lekturze niemal do ekstazy. Oddychał miarowo. I za każdym razem, gdy wielkimi, smolistymi rękoma odwracał kartę, uwydatniała się gra mięśni pod wygładzoną skórą potężnych ramion. Wargi jego, na pół ukryte pod białym wąsem i wielką brodą, ubarwioną żółtym sokiem prymki, poruszały się w niemym szepcie; kaprawe oczy wlepiały się w książkę spoza lśniących szkieł czarno oprawnych okularów. Na wprost jego twarzy i na jednym z nią poziomie, na bębnie wyciągu kotwicznego siedział okrętowy kot i błyskał zielonymi oczyma ku staremu przyjacielowi. Ta poza przyczajonej chimery świadczyła, że kot obmyśla w tej chwili skok na kolana starca, ponad grzbietem siedzącego mu u nóg majtka.

Ów majtek był to Charley, chuderlawy młodzieniec, z długą szyją i o tak wydatnej kości pacierzowej, że tworzyła pod koszulą niby łańcuch drobnych pagórków. Jego twarz przedwcześnie dojrzałego ulicznika, twarz cwana, drwiąca, o głębokich fałdach z obu stron szerokich ust o cienkich wargach, była nisko pochylona ku kościstym kolanom. Na kawałku starego powroza uczył się właśnie marynarskiego kunsztu, tak zwanej talrepowej pętli. Na czoło wystąpił mu kroplisty pot; raz po raz pociągał mocno nosem i błyskał ruchliwymi oczami ku staremu marynarzowi, który zachowywał najzupełniejszą obojętność wobec pomruków chłopca, mozolącego się nad swą robotą.

Hałas wzrastał. W gorącym zaduchu izby mały Belfast aż kipiał werwą urwisa. Skakały mu oczy, jakby roztańczone; w szkarłatnej twarzy, zabawnej jak maska, rozdzierał czarną gębę i cudacznie ją wykrzywił, ku uweseleniu jakiegoś na pół rozebranego widza, który, wprost niego stojąc, trzymał się za boki, przechylał w tył głowę i pękał ze śmiechu. Inni wytrzeszczali z podziwem oczy. Ludzie, siedzący we dwójkę na drugiej kondygnacji tapczanów, ćmili krótkie fajeczki, zwieszając gołe nogi nad głowami niżej umieszczonych towarzyszy, którzy, porozwalani na swych skrzyniach czeladnych, tworzyli głupio roześmiane lub pogardliwe audytorium. Nad białymi listwami koj powytykane głowy świeciły oczyma, reszta zaś ciał gubiła się w ciemnościach przegródek, przywodzących na myśl wąskie nisze trumienne w jakiejś wybielonej i oświetlonej kaplicy pogrzebowej. Gwar rozmów stawał się głośniejszy. Archie zaciskał usta, kulił się, kurczył, wciągał się sam w siebie, chcąc, zda się, zmniejszyć małą i bez tego przestrzeń, jaką zajmował swą drobną osobą; tak siedząc, szyl bez ustanku, pracowity i milczący. Belfast wrzeszczał jak natchniony derwisz: „...Więc powiadam wam, chłopcy, mówię ja ci do niego: do tego podoficera z tego parowca mówię tak: Za pozwoleniem, mówię, za po – o – zwo – o – le – e – niem pańskim, Wydział Handlowy musiał być wstawiony, gdy wydawał panu świadectwo. – Co ty – powiada – szczekasz? – I do mnie w swoim białym ubraniu, jak oszalały byk. A ja do niego z garnkiem smoły. Garnek do góry dnem i na niego – lu! W jego zatraconą buzię i na ten jego śliczny spencerek... Na! Powiadam, trzymaj, ty niezdarny, wybrakowany klocu pomostowy, ty!... Chłopcy, było na co patrzeć, jak skakał, umazany w smole – ze ślepiami i ze wszystkim, powiadam wam”.

– Nie wiercie mu! Nie wylał żadnej smoły! – wrzasnął ktoś – byłem przy tym.

Dwaj Norwedzy, o okrągłych, niewinnie zapatrzonych oczach, siedzieli na jednym kufrze, bliźniaczo do siebie podobni i jednakowo spokojni, rzekłbyś – czuła parka nierozłącznych na grzędce papużek. Fin rosyjski, pośród wybuchu okrzyków i rakiet śmiechu, pozostał nieruchomy, obwisły i tępy, jak głuchy człowiek bez kręgosłupa. Tuż przy nim Archie uśmiechał się nad swoją igłą. Pewien szerokopiersisty nowicjusz o gnuśnym wejrzeniu, korzystając z chwili uciszenia się hałasu, podszedł do Belfasta i rzekł powoli:

– Dziwno mi, że przy takim, jak ty, zuchu na pokładzie, żyje jeszcze bodaj jeden oficer. Pewno poprawili się teraz, skoro ty, bratku, trzymasz ich w karbach.

– Poprawili. A jakże! – zakrzyknął Belfast – Gdybyśmy my, majtkowie, nie trzymali tak razem! Poprawili się! Oni nigdy nie są źli, dopóki nie mają okazji. Żeby ich czarne dusze zaraza morowa!

Pienił się, wymachiwał rękami. Naraz wyszczerzył zęby, dobył z kieszeni tabliczkę czarnego tytoniu i zaczął ją kasać z zabawną wściekłością.

Inny z nowozacieżnych, człek o przebiegłych oczach i o żółtej szpetnej twarzy, który dotąd, schowany w cień, przysłuchiwał się tylko chciwie, z otwartą gębą, teraz wreszcie odezwał się piskliwym głosem:

– Niech sobie będzie co chce, skoro to jest kurs powrotny. Mogę i taki dach nade łbem ścierpieć, dopóki nie znajdę się w domu. A wtedy się upomnę o swoje prawo. Ja im wtedy pokażę!...

Wszyscy zwrócili głowy ku niemu, oprócz młodszego majtka i kota, na których te słowa nie zrobiły żadnego wrażenia. A mówca wziął się pod boki i stał wyzywająco – mizerny nicpoń o białych rzęsach. Wyglądał, jak gdyby go spoliczkowano, zbito, skopano, tarzano w błocie; jak gdyby go szarpano, pluto nań, poddano niewypowiedzianym obrzydliwościom... a on uśmiechał się oto do otaczających go twarzy, dufny w obecną bezpieczeństwo. Sponiewierany, sztywny niegdyś kapelus

leżał mu na uszach i przylamywał je ku dołowi. Podarta czarna surducina strzępami oplątywała chude łydki w zniszczonych skórzniach. Odpiął dwa ostatnie guziki i każdy mógł widzieć, że nie ma na sobie koszuli. Cechował go bardzo niefortunny rys charakterystyczny: oto, choć wydawało się niepodobieństwem, aby jego łachmany mogły do kogokolwiek należeć, wyglądały na nim jednak jak skradzione. Szyję miał długą i cienką; powieki – zaczerwienione; ze szczęk zwieszały mu się kosmyki rzadkiego zarostu; śpiczaste ramiona podobne były, gdy je opuścił, do złamanych skrzydeł ptaka; na lewym boku ciasto zeskorpiałego błota świadczyło o ostatnim noclegu w mokrym rowie lub rynsztoku. Wyratował od zagłady mizerne swoje cielsko przez to tylko, że uciekł z pewnego okrętu amerykańskiego, na który się zaciągnął w niebaczonej chwili jakiegoś oglupienia. Przez dwa tygodnie tłukł się po wybrzeżu, w dzielnicy tubylczej; włóczęga żebraczy, spragniony i głodny, sypiący na śmietnikach, bezdomny łączęga po słonecznym skwarze... Ten niesamowity gość ze świata zmór nocnych stał teraz przed oczyma wszystkich i wstrętnie było patrzeć, jak się uśmiechał do ludzi, wśród nagłego ich zamilknięcia. Oto znalazł w czystym, białym kasztelu przytułek; miejsce, gdzie może być wałkoniem, wylegiwać się i jeść, i wymyślać na jadło; gdzie może rozwijać swój talent wyłgiwania się od roboty i umiejętność próżniaczego wałęsania się po kątach; gdzie z pewnością trafi się ktoś, kogo można będzie naciągnąć, ktoś inny, co się da zahukać czelnością – a za to wszystko jeszcze mu zapłacą. Wszyscy już go znali zawczasu. Bo gdzież nie znają takiego człowieka? Gdzie, na jakim skrawku globu ziemskiego nie widują tej złowieszczej wywłoki, świadczącej, że kłamstwo i bezwstyd plenią się wszędzie i zawsze?

Jakiś milczący, długoręki skorupiak morski o haczykowatych palcach, który leżał na grzbiecie i ćmił faję, odwrócił się teraz na swej pryczy, ażeby ten obiekt spokojnie zbadać, po czym strzyknął mu ponad głowę ku drzwiom smugą jasnej plwociny. Zaprawdę, znany już był wszystkim zawczasu. Wszakże to ten, który nie umie sterować, niezdolny jest związać dwu końców liny, wykręca się od roboty, aż zapadnie noc ciemna; ten, który w czasie służby, wysoko na rejach, trzyma się ich w obłędnej trwodze rękami i nogami, przeklinając wiatr, śnieg z deszczem i ciemnością; jest to ten, który bluźni morzu wówczas, gdy pracują inni; a gdy wezwą całą załogę, gdy potrzeba rąk wszystkich, on ima się pracy ostatni, a pierwszy ją porzuca... Jest to człowiek, który większości robót wykonywać nie umie, a reszty – nie chce. To faworyt, oczko w głowie ckliwych filantropów i sobkowatych bałwanów lądowych. Sympatyczne i zasłużone stworzenie, które zna wszystko, co się tyczy jego praw, ale nic nie wie o obowiązkach odwagi, wytrwałości, wierności i nieokreślonego słowami poczucia lojalności, wiążącej wzajem brać okrętową. Wydały go rozwydrzone męty i szumowiny miejskich spelunek, pełne pogardliwej nienawiści dla surowego poddaństwa oceanowi.

– Jak się nazywasz? – zawołał ktoś.

– Donkin – odparł i spojrzał wokoło z wesołym zuchwalstwem.

– Coś ty za jeden? – zagadnął ktoś inny.

– Toć majtek, jak i ty, panie starszy – odrzekł niby to serdecznie, ale z odcieniem bezczelności.

– Niech mnie diabeł porwie, jeżeli nie wyglądasz nieco gorzej od jakiego rozbitka z palaczy okrętowych – dorzucił ktoś w niezachwianym przekonaniu.

Charley zadarł głowę i zapiszczał po łobuzersku:

– To mi okaz człowieka! To mi okaz marynarza dopiero!

Co powiedziawszy, utarł nos wierzchem dłoni i pochylił się znów pracowicie nad swym kawałkiem liny. Kilku parsknęło śmiechem. Inni wytrzeszczali oczy, w niepewności, co o tym sądzić.

Nowoprzybyły zaś obdartus jął się oburzać.

– A to ładne powitanie towarzysza – warknął – Czy wy jesteście ludzie, czy zgraja ludożerców bez serca?

– Nie rozbieraj się pan zaraz do koszuli o jedno słowo! – krzyknął Belfast, występując przeciwko niemu z zaczepną swadą, ale zarazem i przyjacielsko.

– Czy ten dureń ślepy? – odciął nieposkromiony gałganiarz, rzucając na prawo oczyma i na lewo z udanym zdziwieniem. – Nie widzisz, że nie mam na sobie koszuli?

Rozkrzyżował ręce i z dramatycznym gestem potrząsnął szmatami zwieszającymi się z bioder. – A dlaczego? – ciągnął podniesionym głosem. – Zapowietrzzone Jankesy chciały mnie utrupić za to, że broniłem swoich praw między nimi – Anglik bo jestem! Nasiedli mnie i musiałem nogować. – To dlatego. Czy nigdy nie widzieliście człowieka w opałach? Cóż to za przekłete pudło, ten cały wasz okręt! Nie mieć serca dla człowieka, który się wyniszczył do ostatniej nitki. Nie mam nic – zupełnie nic. Ani kuferka, ani łóżka, ani kołdry, ani koszuli – nic, prócz tych łachmaniarskich szmat, w których mnie widzicie. Ale nie dałem się Jankesom... Czy nie ma tam kto z was jakiej pary starych spodni dla towarzysza?

Wiedział, jak podbić naiwną duszę tłumu. W jednej chwili zwróciło się ku niemu współczucie – w formie żartobliwej, pogardliwej lub rubaszej. Pierwsza tegoż oznaka spadła w postaci kołdry, rzuconej na Donkina, gdy tak stał, świadcząc o swej przynależności do społeczeństwa białoskórych nagością członków, prześwitujących spoza fantastycznej czerni łachmanów. Po kołdrze padła do jego zabłoconych nóg para starych trzewików. Następnie z objaśnieniem: „Do spodu” – zvaliła mu się na plecy para zwiniętych w trąbkę szarawarów, ciężkich od smołowych plam. Powiew współczucia rozkołysał te zatwardziałe serca, wyzbyte uczuciowości. Wzruszyła je własna ich gotowość do ulżenia biedzie okrętowego towarzysza.

„Już my cię wykwipujemy!” – wołano. – „Nie widziałem nikogo w tak ciężkim położeniu”. – „Biedaczysko!” „Ja mam dla niego stary kaftan”. „Może się to przyda?” „Bierz-no to, bracie”. – Takie przyjazne nawoływania rozlegały się po izbie czeladnej.

A on zagarniał wszystko bosą stopą na kupę i oglądał się, czy kto nie da więcej. Nawet niewzruszony Archie uzupełnił ten stos, rzucając obojętnie starą czapkę z oberwanym daszkiem. Stary Singleton, przebywający wciąż w krainie wyobraźni, nie odrywał się ani na chwilę od książki. Charley zapiszczał z okrucieństwem młokosa.

– Jeżeli do tej nowej liberii trzeba panu guzików mosiężnych, to mogę służyć – dwoma.

Plugawy obiekt powszechnego miłosierdzia pogroził mu pięścią.

– Ja cię rychło tutaj wytresuję, smyku – warknął. – Nie bój się, już ja cię nauczę szacunku dla starszych marynarzy, nieociosany kołku ty!

Rzucił wściekle spojrzenia, a zauważywszy, że Singleton zamyka książkę, zaczął wodzić paciorkowatymi oczyma po tapczanach.

– Zajmij pan tę pryczę przy drzwiach, ładna! – zachęcał Belfast Donkina.

Idąc za tą radą, zgarnął podarunki w zawiniątko, przyciskając je do piersi, po czym zerknął ostrożnie na rosyjskiego Finlandczyka, który stał z boku zapatrzony gdzieś nieprzytomnie, może zatopiony w kontemplacji czarodziejskich obrazów, opętujących ludzi jego plemienia.

– Usuń no się z drogi, panie Holender – rzekła ofiara brutalności Jankesów.

Fin nie ruszał się z miejsca – nie słyszał.

– Precz, mówię, do kroćset! – krzyknął tamten, odpychając go łokciem – Precz z drogi, ty tumanie głuchoniemy. Dalej!

Potrącony Fin zatoczył się, oprzytomniał i patrzył w milczeniu na krzykacza.

– Takich kołtunów zamajaczonych trzeba krótko trzymać – zaopiniował Donkin uprzejmie w stronę otoczenia – Jeżeli ich się nie osadzi na miejscu, to porwą się na ciebie, jak nic.

Cisnął swoje manatki na puste legowisko, zmierzył kilkoma błyskami sprytnych oczu ryzyko przedsięwzięcia i skoczył ku Finowi, stojącemu w tępych zamyśleniu.

– Ja cię oduczę wystawiania na przejściu, zawałidrogo – wrzeszczał. – Ja ci otworzę senne ślepia, ty łbie koński!

Prawie wszyscy ludzie pozajmowali już swoje łóżka, tak że przeciwnicy mieli wolne miejsce do walki. Zaciekawiało wszystkich tak rychłe przeobrażenie się żałosnego przed chwilą nędzarza. On zaś, cały w łachmanach, wyskakiwał przed zdumionym Finem i z odległości zamierzał się na jego twarz, ciężką i nieruchomą. Ten i ów, umieściwszy się wygodnie w łóżku i zawczasu smakując to

widowisko, podjudzał: „Dalej, bierz go, obywatelu z White-Chapel”. Inni wołali: „Zamknijcie gęby i bierzcie się wreszcie za łby!”... Hałas wszczynął się na nowo.

Wtem gruchnęło w pokład nad izbą kilka ciężkich łomotów lewarem, które rozległy się w kasztelu jak strzały armatnie. Ode drzwi zagrzmiął rozkazujący głos bosmana:

– Hej, wy tam! Marsz na rufę. Cała załoga na tył statku, do apelu!

Chwila nagłej ciszy. I wnet podłoga kasztelu zadudniła pod stopami ludzi, zeskakujących z łóżek na bosaka i kłapiących po deskach. Wywlekano czapki spod zmiętoszonych kołder. Ten i ów, ziewając, spinał się pasem. Niedokurzone fajki wytrząsano o futryny i wtykano je pod poduszki. Tu i owdzie zrywał się pomruk: „Co u diabła... Czy nie dadzą nam wcale odpocząć”. Donkin jął ujadać: „Jeśli tak jest na tym okręcie, to my to wszystko musimy zreformować. Już mnie to zostawcie...! już ja”...

Ale nikt z tłumu na niego nie zważał. Cisnęli się ku wyjściu po dwu, po trzech naraz, rozmaszystym natłokiem majtków handlowych, którzy nie potrafią wprost przejść przez drzwi statecznie, po kolei, jak zwykli śmiertelnicy – ci ze szczerów lądowych. Za nimi szedł orędownik „reform” na okręcie. Wreszcie Singleton, porając się z rękawami kaftana, opuszczał izbę ostatni, rzekłbyś, ojciec gromady całej: tak rosły i wysoko niosący na atletycznym korpusie siwą głowę mędrca zahartowanego w burzach. – Pozostał na miejscu jedynie Charley, sam w tej białej, jaskrawo oświetlonej pustce; siedział między dwoma rzędami ogniw żelaznego łańcucha, biegnącego gdzieś na mroczny przód okrętu. Z gorączkowym pośpiechem kończył łamigłówkę talrepowego węzła.

Nagle porwał się, cisnął powrozem w kota i skoczył za nim. Czarny koczur z ogonem nastawionym sztywno, niczym maszt flagowy, przeniósł się w miękkich susach na kotwiczny hamulec.

Gdy marynarze wydostali się z parnego kasztelu, pogodna, czysta noc objęła ich kojącym tchnieniem ciepłego oddechu, falującego w świetlanym opyle nieprzeliczonych gwiazd, jak gdyby zawisłych nad wierzchołkami masztów. Od strony miasta kładły się na czerni wód smugi światła, rozkołysane na drobnych falach, podobne do pływających włókien, zakorzenionych gdzieś u brzegu. Szeregi innych światel w oddali ciągnęły się w prostych liniach, jak na paradzie – wobec górujących nad nimi budynków. Po drugiej stronie przystani posępne wzgórza piętrzyły wysoko czarne grzbiety, na tle których migający tam i sam gwiazdzisty punkcik wydawał się spadać z nieba iskrą. Hen daleko, w stronę Byculli, elektryczne lampy jaśniały u wjazdu do stoczni na szczycie wyniosłych słupów; gorzały oślepiającym, zimnym światłem, niby duchy jakichś złych księżyców zakłęte w niewolę. Okręty, rozsypane po ciemnej tafli przystani, tkwiły na kotwicach w głębokim spokoju. W słabym blasku światel sygnałowych majaczyły niewyraźnie ich obłe, ciężkie kadłuby, niby dziwne, okazałe gmachy, poniechane przez ludzi na zawsze.

Przed drzwiami swej kajuty pan Baker odbywał przegląd załogi. Ludzie potykali się, mijając główny maszt i idąc ku rufie, widzieli szeroką twarz oficera, biały przed nią papier i senną głowę chłopca o spuszczonej powiekach, który za jego plecami podtrzymywał w wyprężonych rękach świetlisty glob lampy. Nie czekając, aż ucichnie szelest bosych nóg, szurających po deskach pomostu, pan Baker zaczął wywoływać nazwiska. Głos jego brzmiał dobitnie i dostrajał się do powagi chwili – bowiem z odczytaniem tej listy wkraczał tu każdy w przyszłość burzliwą i samotną, w okres walk z żywiołem, ciężkich i nieopromienionych chwałą, a co najważniejsza, w twarde karby obowiązku i pracy wśród niewygód i niewywczaś. Gdy oficer wywoływał imię, każdy z kolei odpowiadał: „jestem” lub „obecny”; oddzielając się od ciemnej masy głów, które rysowały się ponad ciemnym tłem prawej burty, wstępował bosymi nogami w obręb światła, po czym dwoma cichymi krokami przechodził w głęboki cień na lewo – na bakort tylnego pokładu. Odpowiedzi były przeróżne: głucho wymrukiwane lub wygłaszane czysto, dźwięcznie. Niektórzy, traktując widocznie całą tę scenę jako zniewagę osobistą, odpowiadali obrażonym tonem. Karność nie bywa zazwyczaj tak ściśle przestrzegana na handlowych okrętach, gdzie poczucie hierarchii jest słabe, a wszyscy czują się równymi wobec bezmiaru morza i twardej pracy żeglarskiej.

Pan Baker wciąż czytał listę.

– Hanssen – Campbell – Smith – Wamibo... No, dalej: Wamibo? Czemu nie odpowiada? Zawsze muszę go dwa razy wymieniać.

Fin wydobył z siebie na koniec niezdarne chrząknięcie, wystąpił na łachę światła i przeszedł, dziwaczny i niezgrabny, z twarzą człowieka zatopionego w śnie.

– Craik – Singleton – Donkin... Boże, cóż to znów?! – wykrzyknął mimo woli pan Baker, gdy ta nad wszelki wyraz odrapana figura pojawiła się w świetle: stanęła, obnażyła blade dziąsła i wyszczerzyła długie zęby w nieprzyjemnym uśmiechu.

– Czy jest coś we mnie nie w porządku? Panie poruczniku? – zapytał Donkin z pozorną prostotą, w której czyhała bezczelność.

Z obu stron pokładu dał się słyszeć powściągany chichot.

Baker utkwiał w nim twarde, niebieskie oczy.

– Dosyć! Przechodź! – mruknął.

I Donkin z kręgu światła pogrążył się raptem w ciemność, by przyjąć od kolegów klepanie po plecach i pochlebne szept.

– No, ten się nie zląkł – pomrukiwano sobie – Ten im zada bobu, zobaczycie... To ci heca!... Widzieliście, jak szyper się na niego wybałuszył. Niech mnie diabli, jeżeli...

Gdy skończyła się lista, pan Baker, wśród chwilowego milczenia, ponownie przebiegał ją wzrokiem:

– Szesnasty, siedemnasty... Jednego mi brak, bosmanie – rzekł głośno.

Tuż obok stojący wielki chłop z Walii, opalony i brodaty, niczym olbrzymi Hiszpan, rzekł głębokim basem:

– Tam na przodku nie ma już nikogo, proszę pana. Zaglądałem tam. Na pokładzie go nie ma, ale może stawi się przed świtem.

– Et! Stawi się, albo i nie – uzupełnił starszy oficer. – Nie mogę wyczytać tego ostatniego nazwiska, Zabazgrane całkiem. No chłopcy, dosyć. Zejść na dół!

Niewyraźna i nieruchoma grupa ożyła nagle i jęła się rozpraszać.

– *Wait*¹ – rozległ się nagle jakiś głęboki, dźwięczny głos.

Wszyscy stanęli w milczeniu. Pan Baker, który, ziewając, miał się już do odejścia, odwrócił się z otwartymi ustami. Wreszcie zawołał wściekle:

– Co to jest? Kto krzyknął „czekaj”? Co?

Spostrzegł jakąś wysoką, przy rudlu stojącą postać, która ciężkim krokiem jęła się przeciskać przez tłum na rufę, ku światłu. I znów ten sam donośnie brzmiący głos rzekł z naciskiem:

– *Wait*!

Padło nań światło lampy. Człek był postawny. Głowę jego przysłaniał cień łodzi ratunkowych, zawieszonych nad pokładem. Przyświecały z tego mroku tylko białka oczu i białe zęby, ale twarzy nie można było rozeznaczyć. Wielkie ręce wyglądały jak gdyby w rękawiczkach.

Pan Baker przystąpił doń śmiało: „Ktoś ty? Jak śmiesz?”... zaczął.

Trzymający lampę chłopiec, zdumiony jak i reszta załogi, podniósł światło do twarzy tego człowieka. Była czarna. Rozległ się pomruk zdziwienia i wyraz „Murzyn”, szeptany półgłosem, przebiegł wzdłuż pokładu i zapadł w noc. Murzyn zdawał się tego nie słyszeć; kołysał się miarowo z pewną fanfaronadą. Po chwili rzekł spokojnie: „Nazywam się Wait – Dżems Wait”.

– Mm! – odchrząknął pan Baker. I po kilku sekundach gniewnego milczenia wybuchnął – A, nazywasz się Wait?... I co z tego?... Co tu robisz? Czego się tu drzesz?

Murzyn był spokojny, chłodny, wyniosły – po prostu wspaniały. Ludzie zbliżyli się i otoczyli go kołem. Najroślejszego przewyższał o pół głowy.

¹ *wait* (ang.) – czekaj. [przypis tłumacza]

– Należę do załogi – oznajmił łagodnie i stanowczo. Głęboki, falujący jego głos rozbrzmiewał bez wysiłku na cały pokład. Była w tym Murzynie jakaś wrodzona, pogardliwa wyrozumiałość i pobłażliwość, jak gdyby z wyżyn swego wzrostu, sześciu stóp i trzech cali, przejrzał już całą czczość ludzkiej głupoty i przedsięwziął sobie nie być dla niej zbyt surowym. Mówił dalej:

– Kapitan najął mnie dziś rano. Nie mogłem przyjść na okręt wcześniej. Gdy wstępowałem na statek po schodkach, zobaczyłem właśnie, że pan odbywa przegląd. Rzecz prosta wykrzyknąłem swoje nazwisko. Myślałem, że zapisano je na liście, i że pan to zrozumie. A pan nie zrozumiał.

Tu uciał. Wszyscy byli stropieni. Po jego stronie była słuszność, jak zawsze, i jak zawsze, był gotów przebaczyć. Pogardliwy głos umilkł; Wait stał, dysząc ciężko, pośród tych białych. Jaskrawy blask lampy padał na jego głowę, załamywał się w głębokie cienie, lśnił na wydatnych policzkach. Była to potężna, niekształtna głowa o płaskim i udręczonym obliczu, wzruszającym a brutalnym; tragiczna, tajemnicza, odpychająca maska duszy Murzyna.

Pan Baker, ochłonawszy, podniósł listę do oczu:

– Aha, więc to tak! Prawda. No, Wait, zanieś swoje rzeczy, gdzie należy.

Nagle Murzyn przewrócił dziko oczyma tak, że widać było tylko same białka, wziął się za piersi i zakaszłał dwa razy metalicznym, jakby z pustki brzmiącym i przeraźliwie głośnym kaszlem. Kasłanie to rozległo się niczym dwa wystrzały pod sklepieniem; odwodziła mu echem kopuła nieba i nawet żelazne blachy burt okrętowych zdawały się drgać unisono. Po czym odszedł wraz z innymi.

Oficerowie, zatrzymawszy się przy drzwiach kajuty, usłyszeli, jak mówił do majtków: „Koledzy, kto z was pomoże mi wnieść bagaż? Mam skrzynię i torbę”. Słowa te, wypowiedziane donośnym, równym głosem, rozległy się po całym okręcie, a w tonie pytania było coś, co wykluczało możliwość odmowy. Po chwili rozległy się krótkie, spieszne kroki ludzi niosących jakiś ciężar. Lecz wysoka postać Murzyna marudziła jeszcze koło otworu głównej luki wśród grupy mniejszych cieni. I rozległ się znowu jego pytający głos:

– Czy wasz kucharz to... dżentelman czarny?

Zaczem rozległo się pełne zawodu i niechęci: „Aha! Hm!” w odpowiedzi na objaśnienie, że kucharz na tym okręcie jest tylko człowiekiem białym.

Jednak pomimo to, idąc wraz z innymi do kasztelu, raczył wetknąć głowę do drzwi kuchni i rzucić tak donośne „dobry wieczór panu doktorowi”, że aż zadzwoniły wszystkie rondle i patelnie.

Kucharz, siedząc na pudle od węgla, kiwał się sennie nad wieczerzą dla kapitana. Zerwał się, jak cięty biczem, i rozwścieczony wybiegł na pokład poto tylko, żeby dostrzec plecy kilku ludzi oddalających się ze śmiechem. Później, gdy była mowa o tej podróży, zwykł był mawiać:

– Nastraszył mnie gałgan. Myślałem, że to diabeł.

Kucharz służył już siedm lat na tym okręcie, a zawsze pod tym samym kapitanem. Był to człowiek poważny, mający żonę z trojgiem dzieci, których towarzystwem cieszył się przeciętnie przez jeden miesiąc na dwanaście! Bawiąc na lądzie, prowadził swą rodzinę co niedziela do kościoła po dwa razy. Na morzu zwykł był sypiać w swej kuchni w pełnym świetle lampy, z fajką w ustach, i otwartą Biblią w rękę. I zawsze ktoś w nocy lampę gasił, zabierał mu Biblię z rąk, a fajkę z zębów wyjmował.

– Bo – urągał mu zazwyczaj zniecierpliwiony i troskliwy Belfast – pewnej pięknej nocy, połkniesz, głupi kuchto, swoją pipkę, i będziemy bez kucharza.

– Ach, synku, gotów jestem na wezwanie mego Stwórcy... Czego i wam wszystkim życzę – odpowiadał zwykle z niezamąconą pogodą, głupawą i wzruszającą zarazem.

Belfast w odpowiedzi na to miotał się w pasji przed kuchennymi drzwiami.

– Ty święty wariacie! Ja nie chcę, żebyś umarł – wył z furii na twarzy i czułością w oczach.

– Na co taki pośpiech, ty zatracony, twardy łbie heretycki? I tak cię diabli wezmą zawczasu. Myśl o nas... o nas... o nas!...

I tu zwykle odchodził, tupiąc i spluwając na bok, z wyrazem niesmaku i zmartwienia; tamten zaś wyłaził za nim ze swą patelnią, rozgorzała na licu, usmolony kopciem i, w poczuciu wyższości a

kucharskiej powagi, patrzył z uśmiechem na to miotanie się „zabawnego człeczka”. Wielka łączyła ich przyjaźń.

Pan Baker pozostał dla wytchnienia u luki w tyle okrętu i w towarzystwie drugiego oficera napawał się chłodem nocy... „Ci Murzyni z Indii zachodnich wyrastają pięknie, zwłaszcza niektórzy... Czy nie?... Cóż to za wspaniałe okaz ten nasz na przykład, panie Creighton. Wyobrażam go sobie u liny, co?... Hm! Myślę go wziąć do swej wachy”.

Młodszy oficer, rasowy, wspaniale zbudowany młodzieniec o jasnych włosach i stanowczej twarzy, zauważył ze spokojem, że tego się właśnie spodziewał. Ale że w głosie jego czuć było lekką gorycz, więc pan Baker zwrócił się do niego natychmiast z uprzejmą perswazją:

– No, no, młodzieńcze! – mówił, chrząkając co chwila – A to chciwiec z pana. Przecież pan masz przy boku tego dużego Fina na całą podróż. Ale ot co zrobimy. Weźmiesz pan tych dwóch młodych Skandynawów, a ja... Hm!... Ja biorę Murzyna i wezmę tego... Hm!... tego obieżyświata w czarnym fraku. Będę go urabiał... He!... I jeśli go nie ujeżdżę... Hm!... nie nazywam się Baker. He!... Hm!... Hm!...

Chrząknął srodze po trzykroć. Miał narów chrząkania między wyrazami i na końcu zdań. Było to przebiegłe, znaczące chrząkanie, które doskonale pasowało do jego groźnego sposobu wystawiania się, do kwadratowej postaci o byczym karku, do zamaszystego chodu i wielkiej, pełnej szram twarzy o twardym wejrzeniu i sarkastycznym wyrazie ust. Lecz załoga już dawno wiedziała, co myśleć o jego srogości; lubiano go powszechnie. Belfast, jego faworyt i tych łask świadom, przedrzeźniał go nie tylko za plecami. Z większą ostrożnością naśladował sposób jego chodzenia Charley. Niektóre z jego powiedzeń przyjęły się w kasztelu, gdzie je co dzień powtarzano. Trudno o większą popularność! Mimo to nikt w załodze nie był pewny, czy przy sposobności porucznik „nie rzuci się na kogo, i tak go nie sponiewiera, jak to jest we zwyczaju na oceanie zachodnim”.

Teraz wydawał ostatnie rozkazy.

– He!... Knowlesie. Zbudzić ludzi o czwartej. Kotwica... Hm!... ma być podciągnięta, zanim przyjdzie holownik. Wyjrzyj no, czy kapitan nie wraca. Ja spocznę w ubraniu... He!... Dasz mi znać o przybiciu szalupy. Hm! hm!... Stary będzie miał prawdopodobnie coś do powiedzenia, gdy wstąpi na pokład – rzucił w stronę Creightona. – Zatem dobrej nocy... He!... He!... Mamy przed sobą długi dzień jutro... Hm!... Na dziś zmykam. Hm! Hm!

Przez ciemny pokład mignęła wstęga światła, potem stuknęły drzwi, i pan Baker znalazł się w swej schludnej kajucie. Młody Creighton oparł się o poręcz i, rozmarzony, patrzył w noc podzwrotnikową. Ujrzał długą, wiejską drożynę, na której rozchwiane cienie liści igrały ze słońcem. Widział rozłożyste konary starodrzewie, łukiem zieleni obejmujące błękit angielskiego nieba, a na jego tle dziewczynę w jasnej sukni, uśmiechniętą pod parasolką, niby zjawisko zstępujące z delikatnego błękitu.

W drugim końcu okrętu izba czeladna, oświetlona jedną już tylko lampą, z wolna pogrążała się w senną ciszę, przerywaną niekiedy głośniejszym oddechem, lub nagłym a krótkim westchnieniem. Dwa piętra tapczanów ziały czarnymi wgłębieniami nisz, rzekłbyś: szeregi grobów z niespokojnymi trupami. Tu i owdzie zasłona perkalu o krzyczących barwach zaznaczała mogiłę, w której spoczywał sybaryta. Przez krawędź zwieszała się czyjaś biała, bezwładna noga. Ktoś wysunął ramię z odwróconą do góry, ciemną dłonią o wpółzgiętych palcach. Dwaj majtkowie chrapali na różne tony, niby tocząc z sobą jakiś spór zabawny. Singleton obnażył się znów do pasa – starcowi niezmiernie dokuczało gorąco; stanął dla ochłody we drzwiach, skrzyżowawszy ręce na tatuowanej piersi. Głową zawadzał o górną belkę. Wpółrozebrany Murzyn zatrudniony był rozpakowywaniem kuferka i rozkładaniem pościeli na wierzechnym tapczanie. Krzątał się, stąpając cicho w skarpetkach; owisłe szelki uderzały go po piętach. Między cieniami podpornic i bukszprytu siedział Donkin z wyciągniętymi nogami i, biegając wokoło oczyma, żuł twardy, okrętowy suchar: trzymał go przy ustach całą pięścią i wgryzał się w niego z wściekłym wyrazem twarzy. Okruchy sypały mu się między nogi. Nagle podniósł się.

– Gdzie tu u was beczka z wodą? – rzekł półgłosem.

Singleton, nic nie mówiąc, wskazał mu ją ruchem wielkiej ręki, w której trzymał dymiącą, krótką fajkę. Donkin schylił się nad stągwią i napił z cynowego kubka, rozpryskując wodę. Odwróciwszy się, spostrzegł Murzyna, przyglądającego mu się z chłodną wyniosłością. Podeszedł ku niemu bokiem.

– Taką to człek ma wspaniałą kolację! – szepnął gorzko. – W domu piesby mój za nią podziękował. Ale dla mnie i dla ciebie musi być dobra. I to ma być kasztel dużego okrętu. Ani ochłapu mięsa w menażkach. Zrewidowałem wszystkie szafki.

Murzyn popatrzył nań, jak człowiek niespodzianie zagadnięty w obcym narzeczu. Donkin zmienił ton:

– Daj no, bracie, zuchelek prymki – westchnął konfidencyjnie. – Nie paliłem ani nie żułem od miesiąca. Wściekam się zatem. No, dajże, stary.

– Nie bądź poufały – rzekł Murzyn. Donkin stropił się i ze zdziwienia aż przysiadł na najbliższej skrzynce.

– Nie pasaliśmy razem świń – ciągnął Dżems Wait stłumionym głosem. – Na, masz tytoń! – Po chwili milczenia spytał: „Jaki okręt?”... „Golden State” – odmrugnał Donkin, gryząc prymkę. Murzyn zagwizdał z cicha. „Zbiegłeś?” – pyta. Donkin kiwnął głową, mając jeden policzek wypchany prymką. – „Pewnie, że zbiegłem. Bo naprzód w czasie podróży do tego portu wytłukli duszę z jednego Hiszpana, a potem wzięli się do mnie. Więc dałem nura”. – „Bagaż został?” – „Tak, bagaż i pieniądze – odrzekł Donkin, podnosząc z lekka głos. – Nie mam przy sobie nic. Ani rzeczy, ani pościeli. Jakiś tu koślawy Irlandczyk ofiarował mi kołdrzynę. Jak uważam, będę musiał przespać się dziś w żaglu”.

Oddalił się na pokład, wlokąc za sobą zarzuconą na plecy derkę. Singleton, nie spojrzawszy na niego, usunął mu się z drogi. Murzyn zdjął z siebie lądowe ubranie i w schludnym odzieniu roboczym siadł na swej skrzynce z rękami na kolanach. Patrzył przez chwilę na Singletona i spytał obojętnie: „Jakież to ten wasz statek? Przyzwoity? He?”

Singleton ani drgnął. Po dłuższym czasie dopiero rzekł z nieruchomym wyrazem twarzy:

– Statek?... Statki są w porządku. To tylko ludzie na nich...

Rzekłszy to, palił dalej w milczeniu. Mądrość pół wieku, spędzonego na wsłuchiwanie się w grzmot fal, przemówiła bezwiednie przez jego stare usta. Kot mruczał na windudze. Dżemsa Waita napadł kaszel charczący i jękliwy: szarpał nim, szamotał niby huragan i, roztrzęsionego, z błędnymi oczyma, rzucił wreszcie na podróżny kuferek. Paru ludzi ocknęło się. Jeden odezwał się ze swej pryczy sennym głosem: „Do licha. Cóż to za piekielne hałasy”. – „Przeziębłem płuca” – rzekł Wait słabym głosem. „To się nazywa przeziębienie? Myślę, że to chyba coś więcej!” – burknął tamten. – „O! tak pan myślisz?” – rzekł Murzyn, prostując się, i znowu przybrał wzgardliwą postawę. Zaczem wspiął się na swój górny tapczan i kasłał bez przerwy, z wysuniętą głową, rozglądając się wytrzeszczonymi oczami.

Nie było więcej protestów. Murzyn padł na wznak na poduszkę i w jakiś czas potem rozległ się jego oddech równy, lecz złączony z przyjękiem, jak u człowieka dręczonego złymi snami.

Singleton stał we drzwiach, zwrócony twarzą do światła. Samotny w półmroku i pustce śpiącej izby czeladnej, wydawał się cięższym, olbrzymim i bardzo starym – jak sędziwy Czas-Ojciec we własnej osobie, który zjawił się w tym miejscu, cichym jak mogiła, aby przyjrzeć się cierpliwie chwilowej przewodze snu-pocieszyciela. Atoli Singleton był tylko synem czasu, szczątkiem minionej, pochłoniętej przez czas i zapomnianej generacji. Trzymał się jeszcze krzepko, nie zastanawiając się nad tym, że jest człowiekiem skończonym, mającym poza sobą rozległą pustkę tego, co minęło, a przed sobą żadnej przyszłości; – wrażliwość dziecięca i męskie namiętności zamarły w tatuowanej jego piersi. Nie ma już dziś tych, którzy mogli zrozumieć jego milczenie: którzy umieli istnieć poza zwykłymi szrankami życia, pod wejrzeniem wieczności. Byli to ludzie mocni, jak mocnymi bywają ci, którzy nie mają zarówno zwątpień, jak i nadziei. Byli to ludzie niecierpliwi a wytrzymali, burzliwi a zdolni do poświęceń, nieokiełznani a wierni. Próbowano w najlepszej wierze przedstawiać tych ludzi jako zraszających łzami każdy kęs chleba i z lękiem o życie przystępujących co dzień do

pracy. W istocie byli to ludzie zarówno wdrożeni do mozołu i wszelkiego niedostatku, jak skłonni do porywów gwałtu i rozwiązłości; obce im było tylko uczucie trwogi i tajonej w sercu nienawiści. Trudni do poskromienia, łatwo dawali się porwać; nie byli wymowni, lecz dość mężni, ażeby ze wzdargą odpychać sentymentalne roztkliwienia się nad swą ciężką dolą. Była to w istocie dola wyjątkowa i jedyna – a nade wszystko ich własna; – dźwiganie jej zdawało im się przywilejem wybranych. To niezbędne dla narodu pokolenie żyło w zupełnym milczeniu; nie znali słodkich więzów uczuć i domowego schroniska – a umierali wolni od grozy ciemnych, wąskich mogił. Byli wiekuiłą działwą morza, pełnego tajemnic.

Następcy ich to dorosłe dzieci ładu – wiecznego malkontenta. Ci są bardziej układni, ale nie tak niewinni; mniej bezbożni, ale też i mniej wierzący; jeśli stali się wymowni, to równocześnie nauczyli się i wyrzekać. Tamci zaś byli krzepcy i milczący, zgięci pod trudem i wytrwali, podobni owym kariatydom z granitu, podtrzymującym w ciemnościach nocy wspaniałe wnętrza olśniewających gmachów. Dziś już powymierali – i nikt nie dba o to. Wiarołomne jest morze dla swych dzieci, zarówno jak i ziemia: przemijają wiary i prawdy, mija pokolenie ludzkie i jest zapomniane; – i nikogo to nic nie obchodzi, z wyjątkiem tych może nielicznych, którzy wierzą w prawdę, wyznają wiarę – albo też miłują ludzi.

Zawiała morka. Okręt, leżący na przypływowym toku, zaczął się mocniej kołysać, i nagle łańcuch kotwiczny zwieszający się od dźwigu do kluzu (otworu w dziobie) szcęknał, przesunął się o cal, i powoli zaczął wznosić się nad pokładem, sprawiając dziwne złudzenie życia, które zataiło się ukradkiem w tym żelaziwie. Łańcuchowe ogniwa, trąc się o wręb kluzu, jęły chrobotać, zgrzytać i roznosić po całym okręcie głuchy pomruk, przypominający wzdychanie pod wielkim ciężarem. Gdy ruch wywołany szarpnięciem doszedł do dźwigu, łańcuch wyprężył się jak struna i zadrgał, a rękojeść hamulca śrubowego jęła się z wolna obracać. Singleton ruszył z miejsca naprzód.

Dotychczas stał zatopiony w tępej medytacji, spokojny i beznadziejny, z twarzą znudzoną i posępną – sześćdziesięcioletni dzieciuch morza. Myśli całego żywota mógłby zawrzeć w sześciu słowach, ale poruszenie się tych rzeczy, równie zespolonych z jego istotą, jak bijące w nim serce, natychmiast rozświetliło ponurą jego twarz wyblaskiem czujnej inteligencji. Lampa migotała chwiejnym płomieniem, a starzec, zmarszczywszy krzaczaste brwi, stał nad hamulcem i pilnował jego obrotów, nieruchomy wśród sabatu rozplątanych cieniów. Po chwili okręt, ulegając kotwicy, podał się lekko naprzód i ulżył naprężeniu. Łańcuch nie ściągany zwolniał i po kilku nieznaczących wahnięciach, z głośnym chrobotem brzęknał o deski pokładu. Singleton pochwycił za lewar i potężnym rzutem całego ciała zakręcił hamulec półobrotem. Potem wyprostował się, odetchnął szeroką pierś i czas jakiś patrzył bystro na potężny i ścisły mechanizm, który na pokładzie warował mu u nóg, podobny do potwornej a obłaskawionej bestii.

– No!... trzymajże mi teraz! – mrucał groźnie spod swej wichrowatej brody.

II

Nazajutrz, gdy rozedniało, Narcyz wypłynął na pełne morze.

Lekka mgła przesłaniała widnokrąg. Gładki, niezmierzony obszar wód poza przystanią skrzył się jak nasadzona klejnotami posadzka i pusty był jak niebo.

Kusy, czarny holownik ostatnim pociągnięciem nadał statkowi, jak zwykle, obrót pod wiatr, puścił linę, przerwał ruch maszyn i bujał się przez chwilę na miejscu, podczas gdy smukły i wydłużony kadłub Narcyza ruszył naprzód pod wzdymającymi się niższymi topsłami. Luźne, wyższe płachty żaglowe jęły powoli chwytać dech porannego wiatru i nabrzmiewać w łagodne zaokrąglenia, do białych podobne chmurek, uwikłanych w splot sznurów, jak w sidła. Potem umocowano w zaczepach boczne liny żagli, ustawiono poprzeczne drążki rej – i oto statek upodobnił się do jakiejś wysokiej i samotnej piramidy, której świetlana biel sunęła wśród oparów mgły, dzierganej złotymi nićmi słońca. Holownik zawrócił na miejscu i oddalał się ku brzegowi. Dwadzieścia sześć par oczu wpatrzyło się w jego szeroką, osadziłą rufę, pełznącą marudnie po drobnych falach między dwójgim kolisk łopatowatych, które wierciły się szybko i siekły wodę z gwałtownym pośpiechem. Był podobny do olbrzymiego chrząszcza, który, zaskoczony światłem, zgębiony jasnością, usiłuje na próżno zemknąć i schronić się w cień dalekiego ładu. Zostawił wlokącą się po niebie smugę dymu i podwójny ślad znikającej na wodzie piany. A w miejscu, gdzie się był zatrzymał, widniała krąglawa, czarna kałuża sadzy, wznosząca się i opadająca z falą – brudna pozostałość po gadzinie, która odbyła tu postój.

Osamotniony Narcyz, kierujący się na południe, cały w promiennych lśnieniach, zdawał się tkwić nieruchomo na tym ruchliwym morzu, w blaskach słońca, sunącego po niebie. Wzdłuż boków statku ślizgały się kłaki pian; o kadłub uderzała z pluskiem woda; ład cofał się i nikił z wolna; kilka ptaków z rozpostartymi bez ruchu skrzydłami zawisło z krzykiem nad chwiejącymi się wierzchołkami masztów. Niebawem ziemia znikła zupełnie i ptaki odleciały. Na wschodzie, ponad ostry wręb horyzontu wynurzył się trójkątny, spiczasty żagiel jakiejś w kierunku na Bombaj idącej towarówki arabskiej; zamajaczył i rozwiął się jak złudzenie. I oto droga prosta i długa wyciągnęła się przed okrętem poprzez niezmierną samotność dnia. Na poziomie wód, pod czarną chmurą deszczową, krwawił się szkarłat zachodzącego słońca. Jęła dać morka wieczorna i nawiała na okręt przelotną ulewę, która wypolerowała go od stóp do głów i pociemniła mu żagle. Płynął lekko, z oporządzonymi na noc podkładami, party silnym prądem musonu. Wzdłuż boków słysząc było przeciągły, monotonny szum fal, zmieszany z cichym poszeptem czeladzi, wyznaczonej na wartę. Urwanym jękiem zgrzytnął górą blok jakiś w ożaglowaniu; od czasu do czasu wiatr głośniejsze westchnął.

Pan Baker wyszedł ze swej kajuty i, zanim drzwi zamknął za sobą, już wołał pierwsze nazwisko. Dziś był jego dyżur na pokładzie. W drodze powrotnej, starym zwyczajem, przyjętym na morzu, pierwsza wacha nocna – od godziny ósmej do północy – jest obowiązkiem pierwszego oficera. Przeto pan Baker, wysłuchawszy ostatniego „tak jest, panie”, wymruknął rozkaz: „Zluzować rudel i wartownika!” – i ociężałym krokiem dźwigał się na schodki mostu. Wkrótce potem pojawił się stamtąd pan Creighton i, cicho gwiżdżąc, szedł do kajuty. O jej drzwi wsparty, dumiał posługacz okrętowy; był w pantoflach, z zakasnymi po łokcie rękawami. Na głównym pokładzie kucharz odmykał swoją kuchnię i sprzeczał się z młodym Charleyem o jakąś parę skarpetek. Słysząc było, jak z ciemnego środka okrętu wygłaszał z naciskiem:

– Nie jesteś wart, żeby ci zrobić coś dobrego. Wysuszyłem je dla ciebie, a ty masz do mnie pretensję o dziury. I w dodatku klniesz jeszcze! I to w żywe oczy! Gdybym nie był chrześcijaninem, tak jak ty nim nie jesteś, ty młody zborezniku, to bym ci sprawił takie lanie... Wynoś mi się stąd!

Ludzie stali zadumani, po dwóch lub trzech, albo przesuwali się milcząco wzdłuż burty. Pierwszy roboczy dzień kursu powrotnego miał się ku schyłkowi i przechodził w spokojną, odruchową krzątanie. U góry, na tylnym pomoście, spacerował tam i sam pan Baker, coś w sobie

rozważał i pochrząkiwał. Na przodzie statku wartownik, wyprostowany pomiędzy łapami obu kotwic, nucił jakąś melodię bez końca i, jak nakazuje regulamin, wpatrywał się w próżnię przed oczyma. Na czyste niebo nocne wystąpiło mnóstwo gwiazd i zaludniło jego pustkowie. Świeciły nad morzem jak żywe istoty; otaczały płynący okręt ze wszystkich stron, bardziej wyraziste niż oczy tłumu i niedocieczone jak ludzkie dusze.

Podróż zaczęła się i okręt – oderwana od ziemi drobina – płynął szybko, samotny, jak mały planeta. Otaczający go bezmiar nieba i nieskończoność wód łączyły się w jedno – hen tam, na niedościgłych kresach. Wielka samotność szła z okrętem, ciągle zmienna, a wciąż ta sama, zawsze monotonna i zawsze imponująca. Od czasu do czasu inny biały punkt wędrowny, obarczony życiem, zjawiał się w dali i znikał, pilnie trzymając się wyznaczonego sobie kierunku.

Słońce patrzyło przez cały dzień na okręt, i co rano witało go płomiennym, rozciekawionym okiem. A przed okrętem leżał własny jego cel: ożywiało go życie istot, których kroki rozlegały się na pokładzie. Jak ta ziemia, która oddała go na pastwę morzu, dźwigał niezmierny ciężar żalów i nadziei. Żył na nim lękliwa prawda i żyło na nim zuchwałe kłamstwo. Nieświadom niczego, tak jak i ziemia, pięknym był dla oka zjawiskiem, skazanym przez ludzi na niegodny los. Lecz dostojna samotność drogi uszlachetniała pospolite cele jego pielgrzymstwa. Wzbijając pianę, dążył ku południowi, rzekłbyś, natchniony odwagą, jaką daje wielkie przedsięwzięcie. Czas zmalał wobec uśmiechniętego ogromu morza. Dni leciały za dniami, lśniące i chybkie, podobne do błysków latarni morskiej, a noce krótkie, pełne zdarzeń, zdawały się lotnymi snami.

Załoga weszła w normalny tryb, i co pół godziny odgłos dzwonu regulował życie, polegające na bezustannym czuwaniu. Dzień i noc widziało się u steru głowę i plecy żeglarza, odcinające się wysoko, w blasku słonecznym, albo na tle gwiazdzistej nocy; ciemna sylweta trwała w niezmiennym spokoju nad obracającymi się ciągle szprychami koła. Zmieniały się twarze, jakby w ruchu obrotowym. Twarze młodzieńcze, twarze brodate, twarze ciemne – pogodne albo zgryźliwe – lecz ze wspólną wszystkim cechą zbratania się z morzem, z tym samym wyrazem oczu, wpatrzonych bacznie w kompas lub podglądających ku żaglom. Kapitan Allistoun, pełen powagi, z szyją okreconą starym czerwonym szalikiem, przebywał cały dzień na tylnym pomoście. W nocy zaś wynurzał się częstokroć spod kłapy schodków i stał, jak duch nad grobem, niemy i czujny pod gwiazdami; nocna jego koszula trzepotała się jak flaga. Po jakimś czasie znikał bez szelestu w otworze schodów. Był rodem z przylądka Pentland Firth. W młodości, na statku wielorybniczym, osiągnął rangę harpunnika. Gdy mówił o tych czasach, jego szare, ruchliwe oczy zatrzymywały się i krzepły lodowato. Później, dla odmiany, wstąpił na handlową służbę Wschodnio-Indyjską. Kapitanem Narcyza był od czasu jego budowy. Kochał swój statek i gnał go bez miłosierdzia. Miał ambitne marzenie odbyć na nim kiedyś świetny kurs pośpieszny, o którym musiałaby być wzmianka w gazetach poświęconych żegludze. Nazwisko właściciela statku wymawiał z szyderskim uśmiechem; do oficerów odzywał się rzadko, a za omyłki strofował głosem łagodnym, ale słowami przejmującymi do szpiku. Włosy miał stalowosiwe, twarz srogą, koloru surowca. Golił się co dzień o szóstej rano, wyjąwszy raz jeden tylko, kiedy na osiemdziesiątej mili na południo-zachód do Maurycego, zaskoczony strasliwym huraganem, obrządku tego przez trzy kolejne dni zaniechał. Nie lękał się niczego, prócz Boga, który win nie darowuje. Pragnął skończyć swój żywot w jakiejś małej chatce, z kawałkiem przyległego do niej gruntu, gdzieś w zapadłej okolicy, z dala od widoku morza.

Ów władca małego światka rzadko kiedy zstępował z olimpijskich wyżyn swego pomostu. Na dole, u jego stóp, odbywał się pracowity, lecz podrzędny mozół życiowy zwykłych śmiertelników. Na głównym pokładzie pan Baker pomrukiwał srogo, lecz nieszkodliwie, obdzielając nas wszystkich zrządzeniem, ponieważ, jak mówił, płatny jest za to. Czeladź, zajęta pracą na pokładzie, była zdrowa i czuła się zadowolona, jak większość marynarzy, gdy się już dobrze przystosuje do morza. Prawdziwy spokój Boży zaczyna się w każdym punkcie, odległym o tysiąc mil od najbliższego lądu. A kiedy Bóg posyła tam zwiastunów swej mocy, to nie po to, ażeby w strasliwym gniewie karać za zbrodnie, za

hardość lub za występki, lecz aby po ojcowsku skarcić te prostacze dusze, nie mające pojęcia o życiu, te serca, których uderzeń nie reguluje zysk lub zawiść.

Pod wieczór doprowadzony do czystości pokład przybierał wygląd spokojny i przypominał lądową jesień. Słońce chyliło się ku spoczynkowi, otulone płaszczem ciepłych obłoków. Na przodzie statku, na zapasowych belkach, siedzieli bosman z cieślą, obydwaj dobrotliwi i potężni, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Obok nich krótka, przysadkowata postać, majster od żagli – służył niegdyś we flocie wojennej – opowiadał, między dwoma zaciągnięciami fajką, niemożliwe bajdy o admirałach. Drepcząc po pokładzie i utrzymując bez trudu równowagę w tej ograniczonej przestrzeni, chodziły sobie pary tam i z powrotem. W przegródce dla trzody chlewnej pokwikały świnię. Belfast, wsparty łokciami o żerdzie przegródki, milczeniem pełnym zadumy obcował z tą nierogacizną. Majtkowie, w koszulkach rozpiętych na ogorzałej piersi, zalegli przyczepy lin i poobsiadali stopnie kasztelowych schodów. U przedniego masztu zebrało się kółko i toczyło dyskusję na temat charakterystyki dżentelmana.

– To zależy od pieniędzy – rzekł jeden.

– Nie! Od sposobu wyrażania się – zapewniał drugi.

Kulawy Knowles przywłókł się z nieumytą twarzą (uchodził za największego brudasa w kasztelu) i ze śmiechem starego wygi, szczerząc resztę żółtych kłów, oznajmił z przekonaniem, że „widział kilka par spodni tych dżentelmanów”. „Miały – powiada – od ciągłego siedzenia przy biurku tyły cieńsze niż papier, a w innych miejscach wyglądały pierwszorzędnie i mogłyby wytrzymać jeszcze lata. Cała rzecz – pozór. Diabelnie łatwo – powiada) – być dżentelmanem, gdy się ma czyste zajęcie”. Dysputa ciągnęła się bez końca, uporczywa i dziecinna. Każdy wykrzykiwał z zaognioną twarzą zdumiewające argumenty. A lekki wiatr, który spływał po ogromnej wklęsłości przedniego żagla, rozpostartej nad ich głowami, muskał przelotnie zwichrzone czupryny, jakby z wyrozumiałą pieszczotą.

Zapomnieli o ciężkich trudach, zapamiętali się zupełnie. Zbliżył się i kucharz, by posłyszeć, co mówią, i stał, promieniejąc wewnętrznym poczuciem swej wiary, z miną świętego, który ma pewność nagrody w niebiosach. Donkin, osamotniony na przednim pomoście i przeżuujący wspomnienia doznanych krzywd, przysunął się, ażeby uchwycić wątek dyskusji, toczącej się u jego stóp. Błądą twarz obrócił ku morzu i latającymi nozdrzami wciągał w siebie wiatr. W czerwieni zachodu płonęły ożywione lica, błyskały zęby, iskrzyły się oczy. Ludzie, przechadzający się po pokładzie, przystawali niekiedy w błogim śmiechu całej gromady. Jakiś pochylony nad stągwią osobnik aż przysiadł, rozbawiony, z namydlonymi ramionami. Do słuchaczy raczyli się przyłączyć nawet trzej podoficerzy; wygodnie rozparci, przysłuchiwali się z uśmiechem wyższości. Belfast, zajęty skrobaniem ucha swej ulubionej świni, przerwał tę czynność i z otwartymi ustami i wścibskim wejrzeniem jął czyhać na sposobność wtrącenia się do rozmowy. Załamywał ręce i wykrzykiwał twarz, gdy mu się to nie udawało. Charley z odległości rzucił w to zgromadzenie okrzyk:

– O dżentelmanach to ja więcej wiem, niż wy wszyscy. Ja żyłem z nimi za pan brat... Czyściłem im buty.

Kucharz wyciągnął kark, jak żuraw, by lepiej słyszeć. Był zgorszony.

– Stul pysk, gdy mówią starsi, poganinie bezwstydy!

– No dobrze, dobrze, stary Alleluja – odparł Charley pojednawczo.

Po jakimś tam powiedzeniu brudnego Knowlesa, wygłoszonym z niesłychanie dowcipną miną, powstał śmiech; rósł jak wzbierająca fala, aż wyładował się w salwie głośniego rechotu. Tupano obiema nogami, zadzierano do nieba pełne wrzasku twarze; niektórzy z hałasem trzepali się po biodrach; ten i ów, zgięty wpół, trzymał się za boki, ciężko dysząc, jakby w paroksyzmie bólu. I cieśla, i bosman, nie zmieniając pozycji, trzęśli się ze śmiechu. Żagielnik, brzemienny swoją anegdotą o jakimś admirałach, siedział i dąsał się; kucharz wycierał sobie oczy zatłuszczoną szmatą, a sam Knowles, kuternoga, zdumiony swoim sukcesem, stał pośrodku i uśmiechał się tylko.

Twarz Donkina, opartego o poręcz, nagle spowaźniała. Coś jak charczenie dało się słyszeć przez drzwi kasztelu. Zmieniło się w pomruk i na koniec przeszło w jednostajny jęk. Człowiek zajęty myciem zanurzył raptem obie ręce w stągwi; kucharz przybrał minę bardziej zgnębianą niż zbity z tropu, wyśmiany heretyk; bosman niespokojnie ruszał ramionami; cieśla skoczył na nogi i odszedł precz, a zaś żagielnik, czując, iż anegdota jego przepadła, jął pykać fajkę z posępną determinacją. W czarnej czeluści korytarza zatliła się para wielkich, nieruchomych oczu i błysnęła białkami. Potem wysunęła się głowa Dżemsa Waita, niby zawieszona w powietrzu między jego rękami, trzymającymi za drzwi z obu stron twarzy. Kutas niebieskiej wełnianej szlafmocy zwisał mu nad lewym okiem i podskakiwał wesoło. Podszedł bliżej chwiejnym krokiem. Wyglądał krzepko, jak zawsze, ale chód jego był dziwnie niepewny i jakby sztuczny. Twarz zdała się cokolwiek szczuplejsza, a oczy bardziej wypukłe. Samą obecnością swą, rzekłbyś, wypłaszał resztkę zachodzącego światła. Jakoż słońce utonęło raptem w morzu, jak gdyby uciekając przed tym Murzynem, który rozsiewał czarną mgłę – nieuchwytny, złowieszczy wpływ; coś chłodnego i ponurego promieniowało z niego, osiadając na twarzach niby żałobna krepa. Towarzystwo rozproszyło się. Umilkła głośna wrzawa; na ustach ludzi zastygły nawet półśmiechy. Nie odzywano się ani słowem. Niektórzy odwrócili się plecami, siłąc się na obojętność; inni rzucali z ukosa niechętnie spojrzenia. Byli podobni raczej do grona przestępców, świadomych swego zło czynu, aniżeli do uczciwych ludzi, nagle rzeczą przykrą zakłopotanych. Dwóch lub trzech tylko zachowało pewność siebie, ale i ci nawet stali z głupią miną i otwartymi ustami. Wszyscy oczekiwali, ażeby Dżems Wait cokolwiek powiedział, i jednocześnie jakby z góry wiedzieli, co powie. A on, oparty plecami o framugę drzwi, obrzucał nas surowymi oczyma chorego władcy-tyrana, poskramiającego tłum, który płaszczy się, lecz knuje zdradę, jak niewolnik.

Nikt się nie oddalał. Wszyscy czekali, opanowani jakimś uroczym strachem. A on, chwytając oddech między słowami, rzekł szyderczo:

– Dziękuję wam... chłopcy. Jesteście... tacy uprzejmi... i... tacy spokojni... doprawdy! Te wycia wasze! – za moimi drzwiami!...

Zamilkł, a żebra jego pracowały usilnie nad oddechem. Ciężko było na to patrzeć. Zaszurały nogi. Belfast głośnie westchnął. Tylko Donkin w górze błyskał czerwonymi powiekami bez rzes i uśmiechał się gorzko nad głową Murzyna.

A Murzyn z dziwną łatwością ciągnął dalej. Już nie dyszał, a głos jego brzmiał donośnie i rozlegał się jakby pod sklepieniem pustej piwnicy. Dygotał wzdrgnięciem i gniewem.

– Próbowałem cokolwiek usnąć. Wiecie, że nie mogę sypiać po nocach. A wy tu pod drzwiami rozgadaliście się, jak zapowietrzona zgraja starych kumoszek!... Uważacie się za dobrych kolegów, co?... Dużo was obchodzi człowiek umierający.

Belfast zerwał się od chlewka.

– Jimmy! – zawołał drżącym głosem – gdybyś nie był chory, to ja bym ci...

Urwał. Murzyn poczekał chwilę, wreszcie rzekł ponuro:

– To byś mi co?... Rozprawiaj się z takim, jaki sam jesteś. Daj mi spokój. Niedługo już. Umrę wkrótce... Zbliża się koniec!

Ludzie stali wokoło w milczeniu, zaledwie dysząc, z bezradnością w oczach. Oto właśnie, czego się obawiali i o czym nie chcieli słyszeć – oto myśl o skradającej się śmierci – myśl, którą przeklęty Murzyn narzucał im kilka razy na dzień, jak pogroźkę. Zdawało się, iż dumny jest z tej śmierci, która jak dotąd ułatwiała mu tylko życie. Pysnił się, że nikt inny, prócz niego, nie żył w takiej zażyłości z tą nieodstępną towarzyszką. Lubił się nią popisywać tak uporczywie, że obecność tej śmierci wydawała się rzeczą niewątpliwą i zarazem nieprawdopodobną. Bo jakże posądzać człowieka o tak potworny, że śmiercią zażyły związek! Czy ten gość, nieustannie przez Murzyna oczekiwany – to rzeczywistość, czy też oszukaństwo? Wahaliśmy się pomiędzy litością a niedowierzaniem. Za najmniejszą wątpliwością z naszej strony Wait stawiał nam przed oczy natrętny i haniebny kościotrup. Bez ustanku obrabiał ów temat. Mówił wciąż o śmierci, która ma przyjść, jak gdyby już tu była, jak gdyby przechadzała się po pokładzie, jak gdyby miała za chwilę wejść do kasztelu i ułożyć się do snu

tam – w tej jedynej wolnej koi; jak gdyby zasiadała z nim razem do każdego posiłku. Uczestniczyła w naszych zajęciach, w naszych odpoczynkach i rozrywkach. Byliśmy pozbawieni śpiewu i muzyki wieczorem, ponieważ Jimmy – jak nazywaliśmy go pieszczotliwie, chcąc zamaskować nasz wstręt do jego towarzyski – ciąglą możliwością swego zejścia zdołał zepsuć równowagę nawet Archie'emu, posiadaczowi harmonijki. Po kilku dotkliwych odezvaniach się Jimmy'ego Archie wyrzekł się koncertów, mówiąc:

– E, grać takiemu, co nie z tego świata. Nie wiem, co mu jest, ale źle z nim, bardzo źle. Nie ma co prosić, żebym grał. Nie chcę.

Śpiewacy nasi milczeli, bo Jimmy konał.

Z tego samego powodu człek nie może – jak mówił Knowles – przybić gwoździa do ściany, pod swój przydzwiek, nie narażając się na krzyki, że zakłóca ostatnie chwile Jimmy'ego, które jakoś nigdy się nie kończą. W nocy, zamiast rzeźkich nawoływań: „Pierwszy dzwon! Ruszaj się! Czyście ogłuchli tam! Hej! Na nogi!” – warta była wywoływana imiennie i szeptem, ażeby przypadkowo nie zakłócić Jimmy'emu snu, może ostatniego w tym życiu. Co prawda sypiał on zawsze na jedno oko i gdyśmy się skradali na palcach, potrafił zawsze posłać za nami jakiś przykry docinek, tak że wydawaliśmy się brutalami, a po jakimś czasie zaczynaliśmy podejrzewać siebie o głupotę. Rozmowy nasze w kasztelu odbywały się po cichutku, jak gdyby to była świątynia. Posiłki spożywaliśmy w milczeniu i strachu, gdyż Jimmy był w jadle wybredny i otrząsał się na pekeflajsz, na biszkopcy, na herbatę – jako na artykuły nienadające się na żywność dla ludzi – osobiście dla ludzi umierających!

– Moglibyście – mawiał – znaleźć jakiś uczciwszy płat mięsa dla chorego, który powraca do domu na kurację... albo na swój pogrzeb. Ale wam o tym mówić! Gdyby to zależało od was, już byście się mnie pozbyli. Otrulibyście mnie. Popatrzcie no, coście mi tu dali!

Potrawy przynosiliśmy mu do łóżka, tłumiąc wściekłość, ale pokornie, jak służba znienawidzonego despoty; odpłacał nam za to nieprzejechaną zgryźliwością. Umiał opanować podstawową głupotę ludzką i trzymać ją na uwięzi; – posiadał tajemnicę życia – i owałdzał każdą chwilą naszej egzystencji. Acz z rozpaczą, uznawaliśmy jednak tę jego władzę. Mały Belfast o żywym temperamencie, zawsze krańcowy, stale gotów był rzucić się na Jimmy'ego, albo wybuchnąć płaczem. Raz, wieczorem, zwierzył się Archie'emu:

– Za pół pensa urwałbym czarny łeb temu wykrętnemu draniowi.

A pocziwy Archie udawał, że jest zgorszony! Niech to da miarę czarodziejskiego wpływu, jaki wywierał na nas, ludzi prostodusznych, ten Murzyn z St. Kitt, trafem do nas przybłąkany. Ale teje samej nocy Belfast wykradł z kambuza przeznaczony dla oficerów tort owocowy, pragnąc, ażeby nasz wybredny łakotniś miał się czym delectować. Narażał na niebezpieczną próbę nie tylko swoją długą przyjaźń z kucharzem, ale co gorsza – wystawiał na szwank nawet zbawienie swej duszy. Kucharz nie posiadał się ze zgryzoty! Nie schwytał wprawdzie winnego, ale wiedział, że zło się krzewi; wiedział, że szatan kryje się wśród tych ludzi, nad którymi poczuwał się do opieki duchowej. Gdy ujrzał nas we trzech lub czterech, zaraz odlatywał od swych garnków, aby nam prawić kazanie. Uciekaliśmy przed nim; tylko Charley, który znał złodzieja, wystawiał się na sztych z najniewinniejszą miną, doprowadzając pocziwca do irytacji.

– To na pewno ty zrobiłeś – biadał z westchnieniem i z plamą sadzy na brodzie – To ty, głównio piekielna!... Już nie będziesz więcej suszył skarpetek w mojej kuchni.

Później powiadomiono nas nieoficjalnie, że jeśli się kradzież powtórzy, to wstrzymają nam porcje marmelady (pół funta na głowę). Pan Baker przestał zasypywać swych ulubieńców żarcikami i niedowierzająco chrząkał na wszystkich. Zimne oczy kapitana błyskały ku nam podejrzliwie z wysokości pomostu, gdyśmy wieczorem zajęci byli zwykłą czynnością przy linach. Trudno robić wiele gwałtu o takie złodziejstwo na okręcie handlowym, ponieważ wyraża ono niekiedy tylko niezadowolenie czeladzi z oficerów. Zły to znak. Może się to skończyć Bóg wie jaką zamieszką.

Narcyz był dotąd okrętem spokojnym, ale ten wypadek zachwiał podwaliną wzajemnej ufności. Donkin nie krył swojej radości. A my byliśmy zatrwożeni.

Belfast, nielogiczny jak zwykle, jął z pasją obrzucać Murzyna wymówkami. Urażony Dżems Wait, z łokciem na poduszce, odparł, chwytając z trudem powietrze:

– Czy prosiłem cię, żebyś dla mnie ściągał to paskudztwo? Niech cię wszyscy diabli z twoim tortem! Gorzej mi po nim – ty błażnie irlandzki!

Belfast sponsował, drgnęły mu wargi, rzucił się na Murzyna. Wszyscy w kasztelu, jak jeden mąż, powstaliśmy z krzykiem. Była chwila dzikiego zamieszania. Ktoś wrzasnął przeraźliwie:

– Hola, Belfast! Hamuj się!

Myśleliśmy, że Belfast zadusi Waita natychmiast. Zakotłowało się. W tumanie kurzu słyszeliśmy kaszel, wybuchający metalicznym dźwiękiem, jak uderzenia gongu. Za chwilę Belfast już zawisł u szyi przeciwnika i mówił błagalnie:

– No, Jimmy! No! Nie bądźże taki! Anioł by z tobą nie wytrzymał – z takim chorym, jak ty.

Z krawędzi łóżka Jimmy'ego spozierał ku nam mokrymi od łez oczyma, ze skurczem ust; potem usiłował poprawić kołdrę choremu. Morze nappełniało kasztel swym nieustającym szeptem. Czy się Dżems Wait przeląkł? Czy wzruszył? Czy też żałuje? Leżał na wznak, bez ruchu, jak gdyby oczekiwany gość zjawił się wreszcie. Wzruszony Belfast poprawiał mu kołdrę u nóg i powtarzał czule:

– Tak, tak. My wiemy. Żle z tobą, bardzo źle... Powiedz no, czego byś sobie życzył, a... My wiemy, że z tobą jest bardzo źle...

Nie! Stanowczo Dżems Wait nie był wzruszony i nie żałował. Prawdę powiedziawszy, wyglądał raczej, jakby się czemś przeraził. Usiadł nagle ze zdumiewającą łatwością.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.